



Najwspanialsze drogi Tatr

Każdemu jego Kazalnica

Pięć lat temu cykl opowieści o najwspanialszych tatrzańskich ścianach rozpocząłem od najpiękniejszej drogi w Tatrach – Filara Kazalnicy. Na łamach „Tatr” pojawiło się już prawie dwadzieścia ścian, mniej lub bardziej spektakularnych, mniej lub bardziej ważnych dla historii taternictwa. Ale przyszedł czas, w którym poczułem potrzebę powrotu do tej pierwszej. Dlaczego? Ano pewnie dlatego, że we wspinaniu była i jest tą najważniejszą, a moje życie nieustannie się przeplata z kolejnymi drogami przecinającymi tę ścianę. Każdy ma jakieś swoje miejsca, bez których nie potrafi sam siebie objąć, zrozumieć. Dla mnie takim miejscem jest kilkaset metrów granitu wznoszących się bezpośrednio z Czarnego Stawu.

Wspinam się od chwili, kiedy zacząłem dorastać. W górach – od momentu, w którym formalnie uzyskałem czynne prawo wyborcze. Wspinam się do dziś i mam nadzieję, iż mimo przesyty, jaki czasem odczuwam, będę się jeszcze długo wspinał. Pierwsze piętnaście lat mojego wspinania, mimo kilku wypraw na inne kontynenty, kilkunastu wyjazdów w Alpy, miesięcy spędzonych w skałach naszych i dalszych, jest ściśle związane z najpiękniejszymi górami na świecie. Jestem chyba osobą szczęśliwą, jak mi to ostatnio powiedział pewien znajomy, bo nie muszę poszukiwać. Wiem, że mam miejsca, w których jestem „u siebie” – miasto, w którym mieszkam, skały w okolicach Podlesic, gdzie na wiosnę spędzam więcej czasu niż we własnym domu, i swoje góry, a właściwie swoją dolinę, z alpejską granią, najpiękniejszym miejscem noclegowym – taborem na Włosienicy i najtrudniejszą tatrzańską ścianą. Ta dolina ma oczywiście swoje minusy. Przede wszystkim – Drogę Oswalda Balzera i przemierzające ją tłumy. Jednak – jak każdy lokalny patriota – akceptuję także i ułomności *heimatu*. Po prostu tu jestem „u siebie”.

W górnym piętrze „mojej” doliny, nad Czarnym Stawem, znajduje się ściana, która nie jest wcale najpiękniejsza, nie jest zakończona wybitnym wierzchołkiem i co gorsza – jest miejscem nadmiernie popularnym. Taterników na niej całkiem sporo, a latem nad stawem u podnóża ściany rezydują opisane w poprzednim numerze tatrzańskie tłumy. Trudno poczuć tu mistykę i czar gór. Trudno skupić się na wewnętrznym przeżywaniu, trudno recytować wiersze młodopolskich poetów i rozważać małość człowieczeństwa w obliczu potęgi górskiej natury. Trudno, bo trudniej o miejsce bardziej zaludnione.

Nigdy jednak ani *Cierpień młodego Wertera* nie traktowałem poważnie, ani nie czułem się dobrze wśród filozofów, ze szklanką wódki w dłoni omawiających różnice między Jaspersem a Heideggerem. Stąd brak egzystencjalno-mistycznych elementów nad Czarnym Stawem nigdy mi nie przeszkadzał. Po prostu tu znajdowała się ściana, której się zawsze cholernie bałem, niezależnie od fizycznej formy, doświadczenia, mocnego partnera i dobrej pogody. Ściana, która zawsze była dla mnie sprawdzianem i w jakiś sposób, widzę to dzisiaj, moje zmagania z nią odzwierciedlały to, co działo się równolegle – w tzw. normalnym życiu. Pierwsze kroki w dorosłość, pierwsze poważne emocje, których sednem były kobiety, okresowe depresje, szukanie we wspinaniu ucieczki od problemów codzienności, radosne zwyczaje nastrojów, ojcostwo – najpierw to wczesne, później bardziej stateczne. Wszystkie te elementy dostrzegam dziś, gdy wspominam wspinaczki na Kazalnicy. Z pewnością trochę sobie dopowiadam i nieco nadinterpretowuję, ale kilkadziesiąt wspinaczek (i prób zakończonych wycofami) północno-wschodnią ścianą Kazalnicy, zarówno latem, jak i zimą, to chyba nie przypadek. A przynajmniej taką chciałbym mieć nadzieję.

Pierwszy raz na Kazalnicy. Po pierwszym roku studiów, sezon po kursie betlejemkowskim. Przyjaźnie z liceum już zanikły, znajomości z uniwersytetu nie zdążyły się zawiązać. A przyjaźnie związane ze wspinaniem jeszcze przede mną. Wspinam się, z kim popadnie. Z samej wspinaczki niewiele pamiętam, bo i droga nie jest zbyt honorowa. Prawa część ściany, skała przetykana trawą. Bezpiecznie, bo można łatwo wytrawersować; choć wewnętrzna niepewność dusi –



podpis
podpis

ponoć rok wcześniej ktoś się na tych naszych „Scho-
dach do nieba” zabił. Ładna nazwa, ładny kluczowy
wyciąg, partner, z którym połączył mnie przypadek, i
wreszcie kask, który, niedbale położony na skale,
omalże nie spadł nam z wierzchołka. Więcej nie pa-
mietam, poza satysfakcją z przejścia „samej” Kazalnicy,
rzecz jasna.

Pierwszy raz zimą. Legendarna „ŁaPa”.
Koniec grudnia, przyjeżdżam oczywiście sam, a part-
nera szukam dopiero na miejscu. W chatce jest Krzy-
siek, który planuje iść samotnie na Mnicha. Kilkanaście
minut wieczornej rozmowy i jesteśmy umówieni na
start o trzeciej nad ranem. Po jedenastu godzinach
sprawnie osiągamy okolice Turniczki. Jesteśmy tu
pierwszy raz zimą. Cisza, spokój, ale mleczna mgła jest
tak gęsta, że nie widzimy dalej niż na trzy, cztery
metry. Nie wiemy, którądy idzie letnia ścieżka i tra-
wers w kierunku szlaku. Raz do góry, raz na dół, błą-
kamy się w eksponowanym terenie. Raz w prawo, raz
w lewo. Bez pomysłu. Gdzieś z dołu dochodzi odgłos
walki solisty, wychodzącego „Korosadowiczem”. Ja-
cek senior woła, żeby zjechać do niego. Zjeżdżamy,
potem schodzimy kawałek. Okazuje się, że i u niego
podobne mleko. Jacek, jako ten doświadczony, prze-
jmuje dowodzenie, łączymy liny i wykonujemy pięć
pełnych, stumetrowych zjazdów, którymi osiągamy
Czarny Staw. Tu już wiemy, którądy wrócić do Chat-
ki... Dwa dni później sylwester, tańczymy z chatkowi-
czami na stołach w schronisku. Genialna impreza,
oświadczam się po raz pierwszy w życiu...

Drugi raz zimą. Tym razem „Długosz”. Dro-
gi historyczne zawsze mnie pociągały. Idealne warun-
ki, świetny partner i szybkie tempo. Sporo przed zmro-
kiem jesteśmy z powrotem na tafli Stawu. Trzy dni
później z dumą pokazuję znajomym w Warszawie zdję-

cia Kazika na „Ścianie problemowej” i swoje w „Po-
dwójnym zacięciu”. Właściwie to nie tyle znajomym,
co pewnej piękności, która rok później powie „tak”.

Lato, pół roku później. Dwa dni z rzędu
z Markiem na „Kancie” i „Pająkach”. Pierwszego dnia
jestem w niezłej dyspozycji, udaje mi się przejść czysto
okapik, wyżej jestem zaskoczony łatwym terenem.
Dzień później jestem w fizycznym dolku, czuję się
słaby, boję się bardziej niż zwykle. Zupełnie jakbym
był w innej ścianie. Marek to esencja górskiego opa-
nowania, przejmuje dowodzenie i sprawnie wypro-
wadza nas na wierzchołek. Mój ówczesny związek jest
w tym czasie na granicy anihilacji. Na taborze pojawia
się pewna blondynka, której uwagę staram się na sie-
bie zwrócić. Ponoć dziennikarka. Długi spacer wokół
Moka nic nie daje. Pod koniec mówi mi, że jestem dla
niej za młody. Jak to, 22 lata i za młody?

Kolejna zima. W Chatce czeka na mnie
już Ania. Walczymy w trójkę – z Artkiem i Łukaszem
na Filarze Kazalnicy. Czujemy się mocnym zespołem,
dajemy z siebie wszystko, a i tak dwa wyciągi ponad
Wielkim Okapem okazujemy się być bezradni. Wiatr
wyczynia z nami, co chce, spowalniając każdy ruch.
Zjazdy trwają około dziesięciu godzin. Raz rzucona
lina unosi się do góry, zaczepia o każdy możliwy występ
skalny. Gubimy linię zjazdów, jedziemy na oślep. Po
27 godzinach akcji non stop, około czwartej nad ra-
nem, docieramy pokonani do Chatki. Pokonani, ale
bardzo szczęśliwi. Dopijamy posylwestrowe słowac-
kie wino. Dziewczyny wstają i we dwie donoszą nam
coraz to nowe smakołyki. Gotują, smażą i pichcą przez
trzy godziny, aż zmęczeni i lekko zawiani zasypiamy
przy stole. Czujemy się jak żołnierze, którzy wrócili z
pierwszej linii frontu. Spełnienie chłopięcych marzeń.

Lato. Okres udowadniania sobie i innym rzeczy nie do udowodnienia. Nowy związek, jestem gotów na jedno słowo przeżywcować wszystko. Sezon zaczynam samotnie na „Małolacie”. Wszystko idzie świetnie, aż do trawersu pod Okapem „Y”, skąd dosłownie zmywa mnie do podstawy ściany. Gwałtowna burza przewala przeze mnie kaskady wody, podczas zjazdów operuję sprzętem pod jej grubą warstwą, sam odchylony od ściany, żeby nie znaleźć się w potoku. Przez głowę przelatują wszystkie znane opowieści o utonięciach podczas wspinania. Gdy osiągam Stary Schron, wychodzi piękne słońce. Tydzień później robię „Małolata”, już z Anią. Pierwsze wspólne wspinanie w Tatrach latem, Ania po raz pierwszy na Zerwie. Piękny dzień, trochę strachu w trakcie i nieco odraęgowujących lez na szczycie. Jestem naprawdę szczęśliwy.

Jesień, jakiś czas później. Za chwilę udam się na roczną emigrację; nie wiem, czy dobrze robię, boję się decyzji, która podjęta została za mnie. Wydaje mi się, że „za mnie”. Idziemy z Artkiem na „Kurtykę-Czyżewskiego”. Schronisko pełne, śpimy na werandzie. Niestety, kilku spośród późno wrześnieowych turystów urządza sobie nocne Polaków rozmowy na zewnątrz budynku. Gdy słyszymy o pewnej ścianie pod pewną przełęczą po raz szósty, opowiedane coraz bardziej bełkotliwym głosem, Artek zrywa się i w kilku żołnierskich słowach domaga się ciszy. Skutecznie. Nie śpimy do trzeciej, o czwartej wstaje-



my na wspinanie. Psychika nie jest naszą mocną stroną tego dnia. Wycofuję się z kluczowego wyciągu, nie ufając hakom, ani tym stałym, ani bitym własnoręcznie. Pod ścianą, już po skutecznym wycofie, Artek robi mi zdjęcie, które mam do dziś. Tak zdołowanego siebie nie widziałem na żadnym innym zdjęciu. Taki los emigranta...

Lato 2001. Powrót z zagranicy świętuję kilkoma tygodniami w Tatrach. Także intensywnym wspinaniem na Kazalnicy. Wspaniały dzień z Anią na Filarze. Strach, emocje i lzy na szczycie – znowu jestem szczęśliwy. Następnie świetny dzień z Artkiem na „Epitafium”, jednej z mitycznych kombinacji w centralnej części ściany – chwilę po powodzi, jaka nawiedziła kraj. Wreszcie powtórzenie klasyczne „Superdirettissimi” z Kalim, który najpierw opieprza mnie za symboliczne, jego zdaniem, stanowisko pod „Motylem”, a później, niedbale zarzucając młotek na plecy, traci go, omalże nie zabijając wspinającego się poniżej obecnego szefa Komisji Tatrzańskiej PZA. Wreszcie skuteczny rewanż na „Kurtyce-Czyżewskim”, moja pierwsza wspinaczka z Maćkiem, któremu zawdzięczam swój pierwszy wyjazd na inny kontynent następnego lata i wiele innych wspaniałych wspinaczek w Tatrach i poza nimi. To jest dobre lato, w kolejny rok wchodzę z dużą nadzieją.

Następne lato. Znowu na Filarze, tym razem jako fotograf. Realizujemy sesję z Andrzejem w roli głównej na Wielkim Okapie. Chyba uda się. Wydaje mi się, że będę żył z gór, z pisania, robienia zdjęć, być może zostanę instruktorem. Samo doświadczenie dużo mnie uczy, poznaje człowieka, który na Kazalnicy przeszedł prawie wszystko, który dla rozwoju wspinaczki klasycznej w Tatrach zrobił w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych chyba najwięcej. Celem są zdjęcia w Okapie, więc nawet nadchodząca burza





nie psuje nam humorów. Zjeżdżamy przez Ostrogę, chowamy się w niewielkiej kolebie tuż pod nią. Kiedy nadchodzi apogeum burzy, zaskoczeni, przeżywamy traumę walących wraz z wodą kamieni. Mamy chyba dużo szczęścia, a ja dzięki współpracy z Andrzejem mam swoją pierwszą okładkę w „Górach”.

W tym samym roku. Już jako dumni „alaskaniści” planujemy z Maćkiem „Symfonię”. Długi poprzedni dzień sprawia, że wstajemy późno i śniadanie rozpoczynamy przed dziewiątą. Właściwie jesteśmy zdecydowani odwołać akcję, kiedy przysiadła się Siwy i pyta: – To co? Dzisiaj już za późno, zostajecie na taborze? I tak decyduje za nas. Dziesięć minut później jesteśmy już w drodze pod ścianę; dziesięć godzin później jesteśmy z powrotem. Szczęśliwi, ale bardzo zmęczeni. Z samej wspinaczki pamiętam dziwny szum, jaki słyszałem, stojąc na stanowisku w „Bazie”. Odwracam głowę i ze zdziwieniem konstatuje, że za plecami intensywnie leje. A ja jestem całkowicie suchy. Kiedy wychodzimy ze strefy przewieszzonej już nie pada. Nikt mi nie powie, że Kazalnica w centralnej części nie jest wywieszona.

Tego lata już wiem, że za chwilę zostanę ojcem. Plany wolnego strzelca żyjącego ze wspinania powoli zmieniają się w plany znalezienia pracy. Na etat. We wrześniu wysyłam pierwsze w życiu CV. Pierwszego grudnia rozpoczynam pracę redaktora w pewnym wydawnictwie.

Marzec, trzy miesiące później. Sfrustrowany redaktor na etacie musi sobie i wszystkim udowodnić, że jeszcze się wspina. Jest późno w nocy, blisko dwadzieścia godzin akcji za nami. Jestem już zbyt zmęczony, żeby prowadzić. Po dwóch miesiącach bycia młodym ojcem, tak naprawdę asystuję partnerowi podczas wspinaczki na „Wishu”. Na stanowiskach dosłownie zasypiam. Budzi mnie na zmianę szarpanie liny przez prowadzącego Marcina (terminatora w ludzkiej postaci) lub zapach noworodka. Tylko skąd zapach noworodka w „Nyży ze świeczką”? Podczas zejścia przewracam się ze zmęczenia. Gdzieś o drugiej w nocy, już na stawie, widzę zbliżające się światło czołówki. Marzę o tym, żeby nie okazało się złudzeniem i żeby to był Krzyś, który przyjechał ze mną dzień wcześniej, jego celem było „foczenie” na nartach. Żeby przyniósł coś do picia i zabrał mój plecak... Jako urodzony sceptyk wiem, że to o tej godzinie niemożliwe, ale ludzę się przez chwilę z zamkniętymi oczami. – Co? Może plecak ci wezmę? – słyszę kilka minut później. – Macie tu, chłopaki, herbatę i czekoladę, sorry, że tylko jedną. Oto cały Krzyś...

Dwa lata w wydawnictwie ciągnęły się jak diabli.

Wreszcie przyszedł moment, w którym złożyłem wymówienie. Wszystkim już udowodniłem, że potrafię swoje wysiedzieć między dziewiątą a siedemnastą, że jestem odpowiedzialnym ojcem rodziny. Teraz czas

spróbować samemu. Znowu dużo nadziei, a mało planowania. Raczej „jakoś to będzie, wspinać się trzeba”.

Z Maćkiem, z którym zaczynają mnie wiązać relacje bardziej braterskie, łapiemy bakcyla zimowej wspinaczki klasycznej. Tak jak pan Jan przykazał, łapać się haków nie będziemy. Po kilku odhaczeniach na Kotle, decydujemy się na próbę na samej Kazalnicy. Po dziesięciu godzinach akcji i w pełni klasycznej wspinaczce „Direttissima” i końcówką „LaPy” jesteśmy w „Nyży ze świeczką”. Pogoda się psuje, ale czujemy się bezpiecznie. W końcu stąd już nie więcej niż dwie godziny do bezpiecznego terenu – tak sobie mówimy, odpoczywając przez chwilę w Nyży. Pogoda jednak psuje się bardziej. Dopiero po kolejnych dziesięciu godzinach już nie tak czystej wspinaczki osiągamy w miarę bezpieczny Bańdzioch. Zima, panie, zima...

Dwa lata później. Szczyt Kazalnicy, godzina 21. Pierwsza noc kalendarzowej zimy. Właśnie ukończyliśmy „Drogę na Hel”, w dobrym stylu i do samego wierzchołka. Nie ma pośpiechu, nie ma nerwów. Na niebie miriady gwiazd i wspaniały pełny księżyc. Wokół niego efekt halo. Taka noc zdarza się rzadko. Jest tak spokojnie. Znowu jestem u siebie...

Gdzieś w międzyczasie. Wspinam się po wielu mniej lub bardziej poważnych drogach na Zerwie – z Piotrem, Werniksem, Wawką oraz oczywiście z Jarkiem i Maćkiem, próbuję też z Janem i Michałem. Już nie przypadkowi partnerzy – to są ludzie, których dobrze znam i po prostu lubię. Czasem jest przyjemnie, jest radość ze szczytu, czasem towarzyszy frustracja wynikająca z porażki. Zawsze jest lęk przed ścianą.

W tym czasie zakładamy z Jarkiem firmę, próbujemy działać „na swoim”, bardziej strukturalnie. Początki są trudne, ale myślimy, że „jak nie teraz, to kiedy?”. Pierwsze poważne zlecenia mieszają się z ciągłym brakiem gotówki. Rodzi mi się drugi syn, pierwszy w prezencie przynosi mi rysunek: „Tata z wujkiem na Kazalnicy”. Życie ze wszystkimi jego blaskami wchodzi w kolejną fazę...

Wreszcie przychodzi lato 2009. Trwa w najlepsze światowy kryzys. Zleceń brak i trochę dzięki temu (oraz wspaniałym babciom, które przejmują dzieciaki na tydzień) znowu wspinam się z Anią na Zerwie. Wiszę w okapie „Gacopyrza”; mokre chwytysy i niewiarygodna ekspozycja wprowadzają mnie w lekką konsternację. Czy dobrze robię? Rodzice dwójki małych budrysów razem, na tejsze Kazalnicy, której się tak zawsze bałem... Dzień kończy się jednak tak, jak powinien. Dobrze. Jeszcze ze szlaku, schodząc, dzwonimy do dzieci. Następnego dnia odpoczywamy na taborze. Powoli dociera do mnie, że już nic sobie udowadniać nie muszę – jestem dokładnie tam, gdzie chcę być. A proza życia już zawsze przenikać się będzie z „Kazalnica” w różnych jej odmianach. Czy to w Patagonii, Alpach, w jurajskich skałach, czy „moich” Tatrach.

JAKUB RADZIEJOWSKI